

Twarze



Malina Stahre - Godycka

TWARZE

Czternasty tom z serii *Dialogi Poetyckie*

W serii dotychczas ukazały się:

1. Krystyna Zając, *Miedzy niebem a ziemią*, 2006
2. Andrzej Michałowski, *Żeglarz*, 2006
3. Maria Grażyna Zieleń OCD, *Karmelitańskie zamyslenia*, 2006
4. Justyna Galikowska, *Z marzeń płomienie*, 2007
5. Katarzyna Kado, *Cienkie linie życia*, 2007
6. Andrzej Michałowski, *Krok stamtąd*, 2007
7. *Noc z jedną gwiazdą*, 2007
8. Zofia Zarębianka, *Wiersze pierwsze*, 2008
9. Krystyna Zając, Stanisław Nawrocki, *Na cztery ręce*, 2008
10. Wanda Kaczor, *Najpierwsze i późniejsze*, 2008
11. *Jak chleb*, 2008
12. *Noc a jakby dzień*, 2008
13. ks. Henryk Romanik, *Siostra. Wiersze o Edycie Stein*, 2009

Korekta, grafiki:

Joanna Pohl

Zdjęcie na okładce:

Misia Stahre

Wydawca:

FLOS CARMELI Sp. z o.o.

ul. Działowa 25, 61-747 Poznań

tel.: 061 856 08 34, fax: 061 8560947

wydawnictwo@floscarmeli.poznan.pl; www.floscarmeli.poznan.pl

ISBN 978-83-61727-00-2

Malina Stahre-Godycka

TWARZE

FLOS CARMELI

POZNAŃ 2009

Till min Peter

*...jag vill bara säga hur underbart du är danat...
Vilken lycka det är att få älska dig. Få leva med
dig. Och vore du ett musikstycke skulle du nog
vara „Ljusets Oratorium” (...och ljuset lyser
i mörkret och mörkret har inte övervunnit det.
Joh 1,5! och det- är precis du!)*

Malina

*PS Jag tillskriver dig att jag skriver. Utan dig
skulle jag inte ens börja. Fast du förstår inte mitt
modersmål, förstår du ändå allt och mycket mer.
Och flera projekt väntar oss!*

Mojemu Piotrowi
...chciałam Ci tylko powiedzieć,
jaki jesteś cudowny...
Jakie to szczęście Cię kochać i z Tobą żyć.
A gdybyś był muzyką, to byłoby to „Oratorium
Światła” – tyle masz go w sobie (...a światłość
w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła – J 1,5).
Malina

PS: Tobie przypisuję moje pisanie.
Nie zaczęłabym bez Ciebie.
Choć nie rozumiesz mojego języka macierzystego
– rozumiesz wszystko. I więcej.
I czekają na nas nowe projekty!

Od Autorki

Pracując nad poprzednią książką *Nigdy nie rodzi się byle kto*, dużo podróżowałam.

Musiałam m.in. dotrzeć do niektórych z jej bohaterów: Stasia w Australii, Heli w Kanadzie, czy Józefa w Rosji, itd. W Australii zetknęłam się z Eileen, w Kanadzie poznałam Alice i Tadeusza. A potem pojawili się inni... To dzięki tym podróżom i nieplanowanym zaskakującym spotkaniom zaczęłam myśleć o napisaniu *Twarzy*.

Tym razem zamiast wielkiej historii XX wieku – jak w poprzedniej książce – tłem są „zwykłe czasy”. Zamiast stuletnich losów jednej rodziny tematem są ludzie „uchwyceni w locie”. Galeria postaci: australijski ksiądz, młoda Chinka, czy stary polski emigrant i wielu innych...

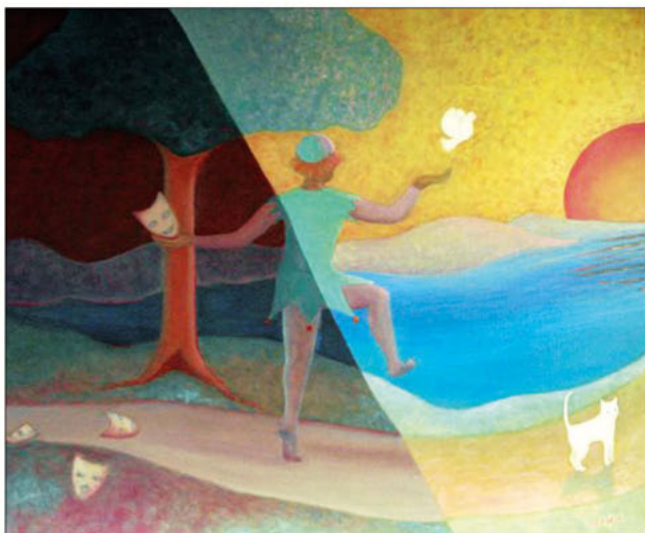
Spotkania wprawiające w osłupienie, jak to z Eileen. Przerażające, jak to z tajemniczą kobietą z *The House*, czy ostrzegawcze, jak z Alice.

Spotkania, które trwały czasem kilka minut czasem kilka dni... I właściwie trwają nadal.

Bo Eileen, Alice czy Tadeusz są przecież wszędzie... Na Pacyfiku i na przystanku autobusowym pod domem. Inspirują, by stanąć twarzą w twarz z samym sobą.

I szkoda ich przeoczyć (i siebie zarazem?).

Malina Stahre-Godycka
Szwecja – słoneczne popołudnie



Transformacja
(olej na płótnie, mal. WANJA BASEL)

Eileen

Tu nigdy nic nie wiadomo.
Walizki zamknięte?

Przeraźliwy krzyk poderwał mnie z łóżka.
W sekundę potem oprzytomniałam.

Aha, jestem w Brisbane. To ona. Znowu. Nauczona doświadczeniem poprzednich nocy, nie spieszyłam z pomocą kobiecie zza ściany. Ale na wszelki wypadek wyskoczyłam z łóżka. Sprawdziłam, czy jest mój plecak ze wszystkim, co ważne. Trzymałam go za szafą. Mimo że drzwi (bez zamka) barykadowałam nocnym stolikiem. Mimo że spałam czujnie, jak zając na miedzy, albo wcale nie spałam. Musiałam być ostrożna. Ale plecak był. Były pieniądze i paszport, i bilet. No i ten drogocenny zeszyt. Rezultat lat pracy nad *Nigdy nie rodzi się byle kto*, czyli moją poprzednią książką. Wydawało mi się, że mam jeszcze wiele do zrobienia. Dlatego

przyjechałam znów na drugą półkulę. Chciałam jeszcze raz spotkać stryja Stasia. To był mój cel. Ale – *Homo proponit, Deus disponit*¹. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, pewnie nie wyruszyłabym w tę podróż.

Przygotowania do wyjazdu ze Szwecji szły jak z płatka. Jakby ktoś rezerwował mi miejsca na parkingach, skracał kolejki na pocztę, w banku, w punkcie szczepień, wydłużał dobę, przyspieszał formalności z wizą. Ba! Od Wandzi, mojej kuzynki, przysłała miła wiadomość: „Czekamy!”. Miałam tylko jeden ogromny problem: noclegi w Brisbane. Dlatego do ostatniej chwili czekałam z kupnem biletu na samolot. Tym razem nie chciałam mieszkać u stryja, nadużywać bezgranicznej gościnności. I Stasiowi, i jego żonie Julii, przybywało lat i dolegliwości. Znałam też Julię z poprzedniej wizyty. Wiedziałam, że nie da sobie w niczym pomóc. Byłabym gościem-upiorem. Zniosłaby to pokornie, tylko po co? Tymczasem pobyt w hotelu kosztował fortunę. Wandzia mieszkała za daleko. Zresztą wołałam być niezależna. Aż wpadłam na pomysł.

¹ łac.: Człowiek zamierza, Bóg decyduje.

Teraz, lada dzień, spodziewałam się wiadomości w sprawie mieszkania.

Może już dziś? – myślałam, pędząc do domu objuczona zakupami. Z niepokojem odsłuchiwałam wiadomości zostawione na automatycznej sekretarce. Raptem usłyszałam muzykę. Chopin? Ależ tak! Zdębiałam i zaraz odezwał się kobiecy głos:

– *Good evening, it is Brisbane, Australia, Legion of Mary, please, call back*¹.

Kobieta podała numer i zapewniła, że ma dobrą wiadomość. Noclegi! Radość mnie rozpieła. Dom Legionu Marii znajdował się niedaleko od mieszkania stryja. Pobyt tam był tańszy niż gdziekolwiek indziej, a w dodatku „pieniądze szły na dobry cel”.

Pomyślałam, że muszę natychmiast oddzwonić; chyba nie było za późno – jeśli doliczyć jedenaście godzin do szwedzkiej dziesiątej rano. Już miałam podnieść słuchawkę, kiedy telefon odezwał się sam.

¹ ang.: Dobry wieczór, tu Brisbane, Australia, Legion Maryi, proszę oddzwonić.

– *Good evening, this is Australia, Brisbane again. My name is Eileen. You are welcome to stay with us*¹.

I tak się wszystko zaczęło.



*The House*²... Ludzie wymawiali to słowo przy-ciszonym tonem, jakby z odrobiną grozy.

Dom-olbrzym położony był w jednej z najbo-gatszych dzielnic Brisbane – stuletni biały queens-lander tonący po pas w bujnej zieleni. Słońce dawno wypilo krwistą czerwień z dachówek i błękit z okien-nych listew. Szeroka, ocieniona dachem weranda, jak ulica, biegła wzdłuż całej południowej strony. Uskrzydlał ją długi rząd otwartych okien. Zagłada-jące do nich gałęzie drzew jakby śledziły tragedie rozgrywające się wewnątrz.

Drzwi otworzyła mi Kobieta-Bryła, z rzadkimi kosmykami długich włosów. Miała półotwarte usta i patrzyła spode łba.

¹ ang.: Dobry wieczór, tu Australia, Brisbane znów. Mam na imię Eileen. Jesteś u nas mile widziana.

² ang.: Dom.

To chyba nie tu, pomyślałam ze zgrozą.

– Nazywam się... Jestem ze Szwecji..., mam tu zamieszkać – wyjąkałam.

Kobieta stała nieporuszona, blokując sobą wejście. Po chwili, nie ruszając się i nie spuszczając ze mnie oka, wrzasnęła na całe gardło:

– Mary, Maaaaary!!!!

A głos miała jak Louis Armstrong. Dolatujący od niej zapach moczu bił w nos. Niebawem zza Kobiety-Bryły wychyliła głowę maleńka staruszka.

– *Hello* – powiedziała, starając się odsunąć Bryłę od wejścia, jak odsuwa się kotarę. Jednak ta nie ustępowała. Dopiero kiedy Mary wskazała na nią ze słowami: „To jest Teresa”, usunęła się na bok.

Babcinka miała różowe policzki, różową bluzkę i trwałą ondulację.

– *Very nice to see you*¹. Proszę, proszę – zachęcała, wprowadzając mnie do ciemnego korytarza.
– Musimy zamknąć bagaże na klucz. Tu nigdy nic nie wiadomo – dodała ciszej, patrząc na mnie znacząco.

¹ ang.: Bardzo miło cię zobaczyć.

Po chwili siedziałam w dużym pokoju, przy małym stoliku pełnym papierów. Obok piętrzyły się bezładne stosy odzieży i książek: od podłogi prawie do sufitu. W mrocznym kącie pokoju stało wtłoczone łóżko i nocny stolik. Obok łóżka siedział biały pudel – chyba z porcelany – prawie naturalnej wielkości. Pomyślałam, że ktoś musi tu mieszkać.

Mary ostrożnie zebrała papiery ze stolika i przełożyła na parapet. Kawałek wolnego blatu jakby symbolizował miejsce dla moich spraw – małe, ale oczywiste. Staruszka usiadła vis à vis, wyprostowana, z dłońmi złożonymi na kolanach, pytając uprzejmie, jak minęła mi podróż.

Nagle podskoczyłam jak oparzona. „Porcelanowa figura” koło łóżka szczerknęła dwa razy. Pis-kliwie, donośnie.

– Cicho, Charlie! – Mary ofuknęła pudła. – To pies Eileen. Eileen wszystkim tu kieruje. A ja jej pomagam. Pójdę po nią – powiedziała i podniosła się lekko z taboretu.

– Eiii-leen! Eiii-leen! – usłyszałam dobiegający z korytarza jej kruchy, wibrujący głos.

Eileen miała przenikliwe oczy pod biegnącymi w dół brwiami i krótko ostrzyżone włosy.

Była dużo wyższa, starsza, bardziej zgarbiona niż Mary. Miała na sobie ciemnozielone spodnie i rozciągnięty, bordowy sweter. Ot, suszona śliwka z suszoną brzoskwinia, pomyślałam o starowinkach.

– To jest nasz gość ze Szwecji – przedstawiła mnie Mary.

– *I see, I see, very welcome here!*¹ – Eileen uśmiechnęła się ciepło, podając mi dużą, żyłastą dłoń.
– Walizki zamknięte? – zapytała, patrząc na Mary. Brzoskwinia przytaknęła. – To chodźmy do jadalni – zaproponowała Eileen, przepuszczając mnie w drzwiach.

Poszliśmy w trójkę niekończącym się szerokim korytarzem. Mary z Eileen przodem, ja za nimi. Drewniana podłoga, z długich brązowych desek, skrzypiała. Z przestrachem zerkałam na boki. Mijałyśmy wysokie, duże pokoje bez drzwi. Pod ścianami leżały w rzędach materace, a na nich poduszki i koce. Tu i ówdzie ktoś spał. Pod jednym z okien stała rozwalająca się kanapa. Nieliczne krzesła miały połamane oparcia albo poplamione siedzenia. Na ciemnoniebieskich ścianach wisiało kilka małych

¹ ang.: Wiem, wiem, serdecznie witamy!

obrazków. Pan Jezus z barankami, Pan Jezus bez baranków – za to w czerwonym płaszczu – czasem w żłóbku albo na krzyżu. Weszliśmy do jadalni. Stał w niej ciężki, czarny stół, komplet krzeseł i kredens. Ot, jak w zasobnym domu bez gustu. Przy stole siedziała mizerna kobieta w papilotach. Pochylona nad blatem, z nogą założoną na nogę, paliła papierosa. Przed nią, na głębokim talerzu, jak kopiec kartofli, piętrzyła się góra niedopałków. Paliła jednego za drugim, jakby wykonywała monotonna, potrzebną pracę. Obok palaczki siedział mały chłopczyk.

– Możesz tu na mnie poczekać, zaraz przyjdę – powiedziała Eileen i podsunęła mi krzesło. Potem zwróciła się do Mary, kładąc jej dłoń na ramieniu: – A ty idź sprawdzić rachunki.

Już otwierałam usta, żeby przeprosić je obie za kłopot, podziękować za mieszkanie i pożegnać się, ale nie mogłam wyrzucić z siebie słowa. Usiadłam, jak posłuszne, wystraszone dziecko, naprzeciwko palącej kobiety i chłopca. Dzieciak machał nogami w powietrzu i wyłamywał sobie palce. Matka, mrużąc coś pod nosem, dawała mu od czasu do czasu mocnego klapsa po udzie. Synek siedział chwilę spokojnie, a potem znowu puszczał nogi w ruch.

Wtem weszła do jadalni, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, może dwudziestoletnia dziewczyna. Zbliżyła się do ściany i uderzyła w nią głową. Dwa razy: bum, bum. Potem do przeciwległej ściany: bum, bum. Uderzenia były zdecydowane i mocne.

Gdzie ja wylądowałam?! Przecież nie mogę tu mieszkać! Czułam, jak oblewa mnie gorąco i pocą mi się ręce ze zdenerwowania. Coraz mocniej tuliłam do piersi plecak, w którym się mieścił cały mój dobytek. Z rosnącym strachem obserwowałam to, co dzieje się w pokoju naprzeciwko. Jakaś kobieta szybko chodziła w tę i z powrotem między pustym stołem a materacem. Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, cztery. Miała na sobie żółtą kurtkę, sięgającą do pół uda, a na długich, chudych nogach – pasiaste pończochy. Była bez spódnicy.

Kiedy do jadalni weszła „normalna” postać i usiadła koło mnie, poczułam się trochę raźniej. Kobieta trzęsącymi się rękoma robiła coś na drutach.

– Będzie sweter – oświadczyła z dumą, podnosząc do góry robótkę. Spod rękawa bluzki wystawało posiniaczone i pokłute przedramię. – Jak jestem zajęta, to najlepiej się czuję – dodała, nie przestając się uśmiechać. – Mam na imię Tess, a ty?

– Elisabeth – odpowiedziałam, chowając się za swoim oficjalnym imieniem. Imię to, dane mi na chrzcie, zawsze spełniało dla mnie rolę parawanu. Bezpiecznego przedmurza. Obserwowałam zza niego nowych ludzi. Malinę odkładałam na później – aż ich polubiłam.

– A skąd jesteś?

– Mieszkam w Szwecji, ale jestem Polką.

– Aż z Europy!? Polka? – kobieta z wrażenia odłożyła druty. – Chodź, coś ci pokażę – zawołała niemal z radością, podnosząc się energicznie zza stołu. W pokoju obok wisiał na ścianie w czarnej ramce jakiś obrazek.

– Błogosławieństwo od Papieża! Dla nas tutaj. To znaczy, Eileen je dostała. – Tess była dumna. Przejęta. Obok błogosławieństwa wisiał św. Franciszek ze swoją modlitwą: „Pozwól mi być światłem tam, gdzie panuje ciemność. Nieść nadzieję tam, gdzie jest rozpacz. Pokój tam, gdzie niepokoje. Miłość tam, gdzie nienawiść.”

Z dworu nagle dobiegły mnie odgłosy kłótni. Przekleństwa, a potem świdrujący wrzask.

– Nie bój się! To tylko jakaś bójka – uspokajała mnie Tess matczynym tonem. – To nic groźnego. Pewnie znowu dziewczyny wzięły się za łby. Eileen sobie poradzi. Choć czasem i ona trochę oberwie. Szybko wróciłam na moje krzesło w dużym pokoju jakby tam było bezpieczniej. Czego się bałam? Chyba tego, że kobiety rzucą się na mnie. Może zbiją? Ograbią ze wszystkiego? Choć właściwie i tak czułam się już obrabowana. Każda minuta odzierała mnie z iluzji.

Miłość bliźniego! Ha! Skąd mi ta myśl przyszła do głowy? Nie wiem. Ale jedno było pewne. Siedziałam wśród bliźnich i bliźni mnie przerażali, budząc litość. Za nic w świecie nie odważyłabym się im służyć. A służyć, podobno, znaczy kochać. O ile łatwiej byłoby rozważać to „kochanie” gdzieś w przytulnej kaplicy, na podniosłych rekolekcjach. Teraz bałam się o własną skórę. I postanowiłam uciec. Wyrzłam przez okno na ogród. Eileen, gestykulując, rozmawiała z młodą długowłosą blondynką. Potem dziewczyna odeszła. Stara kobieta zaczęła wieszać pranie. Pięć wielkich koszy... Widać było, z jakim trudem schyla się, prostuje i wyciąga rękę w górę.

Tymczasem dom zaczęły zaludniać kobiety, o niespokojnym, wrogim albo oziępiałym spojrzeniu. Jak niebezpieczne ptaki Hitchcocka, zlatywały się coraz większymi chmurami. Nieszczęście paradowało wokół mnie w odświętnych szatach.

Zbliżała się pora obiadu. W pewnej chwili podeszła do mnie jakaś zjawa i pogłaskała mnie po twarzy. Dziewczyna miała na sobie biustonosz i obcisłe spodnie z wystrzępionymi nogawkami.

– Możesz spać koło mnie – zaproponowała, zbliżając posiniaczony podbródek do mego policzka. A potem, ni stąd, ni zowąd, wybuchnęła śmiechem. Na całe gardło. Wszystkie jej zęby były jakby ułamane do połowy.

Kiedy w końcu do jadalni weszła Eileen, gotowa byłam rzucić się jej na szyję. Siadając obok mnie, zaczęła tłumaczyć:

– Tak mi przykro, musiałam przyjąć niespodziewanie pewną dziewczynę i nie mam więcej miejsca. Nie możesz u nas nocować – wyglądała na zażenowaną, jakby pozbawiała mnie jakiejś szansy. A ja odetchnęłam. Ale nie na długo.

– Mam inną propozycję – dodała, podnosząc się i gestem nakazując mi iść za sobą.

Tuż obok *The House* znajdował się dom z cegły koloru czekolady. Też *queenslander*, ale całkiem nowy, z prostokątnymi dużymi oknami. Jasny korytarz, pełna okien kuchnia, mały, czysty pokoik – wydał mi się rajem.

– Tu możesz zamieszkać – powiedziała Eileen, uchylając drzwi do schludnej celi z łóżkiem, szafą i nocnym stolikiem. W domu były jeszcze trzy takie pokoje, zajmowane przez trzy kobiety – dawne mieszkanki *The House*, które już zdały egzamin z „normalnego” życia. Eileen mówiła o nich przy-ciszonym głosem, choć nie było nikogo.

– Parę lat temu znalazłam jedną w publicznej toalecie, drugą na ławce w parku; trzecia mieszkała pod kontenerem. Jak prawie wszystkie nasze biedaczki. One też przeszły swoje tragedie: amfetamina, ulica, bijatyki. – Eileen mówiła o tym bez cienia emocji. – Jedna uciekała przed mężem, bo chciał ją zabić. Ciągnął za włosy – do góry, po schodach, albo parzył synka papierosem. Żeby ona zrozumiała, że źle go traktuje. Nie synka! Jego – męża. No cóż. To było kiedyś. Dziś wszystkie mają ludzkie życie – i wskazując na wielki pusty pokój z beżową puszystą wykładziną i kraciastą kanapą, dodała głośno:

– Tu możesz oglądać telewizję, a telefon mamy na dole. Zeszliśmy na parter i wyszliśmy do ogrodu.

Była już trzecia po południu, kiedy do domu wróciły moje współlokatorki: Helen, Loraine i Betty. Loraine i Betty, obie blondynki przy kości, wypełniły kuchnię szczebiotem. Helen nic nie mówiła. Była starsza od Loraine i Betty, delikatna, z wielkimi oczyma. Prawdziwie piękna Helena. Falistym włosom pozwalała spływać na szyję, część zwijając w luźny, urokliwy kok. Betty wyciągnęła niepewnie rękę na powitanie. Pokazały mi, w których pokojach mieszkają, objaśniły, którą półkę mogą zająć w lodówce, gdzie są kubki, talerze i jak uruchomić kuchenkę mikrofalową. Poczęstowały mnie kawą i historią o Eileen. „Ich” Eileen. Opowiedziały, jak to dawną urzędniczkę Ministerstwa Rolnictwa od lat pochłaniał *The House*. Gotowanie, sprzątnie, opieranie podopiecznych. Wyrzucanie śmieci z pojemników za domem i z życia domowniczek. Doglądanie ich i ogrodu. O sobie samych moje sąsiadki nic nie mówiły. Mnie też nie zadawały żadnych pytań. Nawet skąd jestem. Z wyjątkiem jednego: jak mam na imię. Opowiedziałam im sama. To, że przyjechałam z Europy, wywołało życzliwe zdziwienie. Długość trwania lotu: z Kopenhagi, przez Amster-

dam, potem Los Angeles, Auckland do Brisbane wzbudziła niekłamany podziw. Uznałam, że moje nowe znajome są całkiem miłe. Zmęczenie podróży, przeżycia z *The House* zwały mnie z nóg. Bogu dzięki, pomyślałam, naciągając kołdrę. Reszty nie pamiętam.

– *Help! Heeeeeeeelp!*¹ – zachrypnięty głos dochodził z pokoju Helen.

– Helen! Helen! – zawołałam, waląc pięścią w drzwi. – Co się dzieje?!

– Wynos się tyyyyyyyyyy... taka i owaka (Józef, rosyjski bohater mojej poprzedniej książki, powiedziałby: takie przekleństwa to nawet nie dla męskich uszu).

Potem usłyszałam, że Helen wymiotuje. Pewnie czując moją obecność pod drzwiami, krzyknęła:

– Won! won!!

Uciekłam jak spłoszony kot. Wytrącona z równowagi, usiadłam na krześle w kuchni. Czekałam na następny krzyk, albo żeby Loraine czy Betty wyszły ze swoich dziupli. Niemożliwe, by się nie

¹ ang.: Pomocy!

obudziły. Helen jęknęła jeszcze ze dwa razy, po czym zapadła cisza. O dalszym spaniu nie było mowy.

Na palcach, cichutko, zaczęłam krążyć po domu. Wypatrywałam, czy w *The House* pali się jakieś światło. Wszystkie okna spały. Było zimno. Termometr na dworze wskazywał 5 stopni – resztkę trzydziestostopniowego dziennego upału. W nieogrzewanym domu nie było chyba więcej. Lipcowe Brisbane. Nie zapalając światła, powolutku, jak najciszej, wyciągałam z kuchennej szafki neskę, kubek, łyżeczkę, cukier. O mało nie zgubił mnie gwizd czajnika. Potem, skulona na kanapie, grzałam ręce na kubku gorącego płynu. Byłe do rana – dodawałam sobie otuchy.

Było już jasno, kiedy usłyszałam, że otwierają się któreś drzwi. Podniosłam się z kanapy.

– Helen?

Kobieta zdębiała na mój widok (jak ja na jej). Miała na sobie granatowy kostium, biały kapelusz i białe buty. W ręku trzymała torebkę. Wyglądała jakby chciała się wymknąć z domu niezauważona. Teraz podeszła do mnie na palcach i szepnęła:

– Czy możesz zapomnieć tę noc? Zapomnij.

Potem wyszła, cofając się do drzwi z twarzą zwróconą w moim kierunku. I pewnie bym zapomniała cały incydent, gdyby nie to, że nocne krzyki się powtarzały. I te jej „przeistoczenia”. Rozczochrana kobieta w szarym dresie i dama. Krzycząca po nocach, w dzień milcząca jak grób. Pracująca gdzieś, ale równie często siedząca w domu. Helen... Kobiety o tym imieniu, które spotykałam w swoim życiu, wydawały się dźwigać jakieś szczególne brzemiona (co prawda, wpadłam na to długo po moim własnym bierzmowaniu, na którym otrzymałam imię... Helena).

Helen i ja spędzałyśmy czas osobno i razem. W ciszy. Jedna zmywała kuchnię, druga prała. Jedna gotowała, druga suszyła włosy na słońcu. Jedna paliła papierosa, druga pisała list. Helen pielęgnowała kwiaty: ciągle je podcinała, podpierała, podlewała dziesiątki doniczek, zajmujących całą południową werandę. I żadna z nas nie była skora do rozmów. Z wyjątkiem chwil, kiedy Helen zaczynała mówić do swoich roślin. Albo o nich. Wtedy ja słuchałam.

– Patrz, jak ślicznie kwitnie! – wskazywała na czerwone kwiatki wielkości główki od szpilki, prezentując małą doniczkę na rozpostartej dłoni –

jakby to był nie byle jaki okaz nie byle czego. – A uratowałam to ze śmietnika. Właściwie nigdy nie wiem, co sadzę. I nigdy nie wiem, co może wyrosnąć z tego, co znajdę. Ale w tym leży radość. Będzie, jak będzie.

Wyartykułowałam jakieś przyjazne „Hmm”.

– Widziałaś kiedyś kamforowiec – ciągnęła. – Drzewko prześliczne. Z jego korzeni robi się kamforę. Przyszło z Chin. A w North South Wales rośnie jak chwast! Z drzewkami importowanymi z zagranicy jest duży problem. Ludzie nie mogą im się oprzeć. Pewnie dlatego, że tak pięknie kwitną. Weź choćby jakarandę...

– A skąd jest jakaranda? – zapytałam, nie bardzo spodziewając się, żeby znała odpowiedź.

– Z Brazylii – odparła bez namysłu. – Albo *Impatience*, która zabija wręcz wszystko dookoła.

– A skąd *Impatience*? – indagowałam.

– Z Nowej Gwinei. Wszystko możesz zobaczyć tu, w naszym ogrodzie botanicznym w Brisbane. Pewnie wiesz, że jak wszystkie większe ogrody w Australii, wywodzi się on z Kew Garden w Londynie.

Nie wiedziałam.

I tak kwitły nasze rozmowy. Właściwie monologi Helen. Niezachwaszczone żadnym innym tematem.

W dzień mego wyjazdu Helen podeszła do mnie ze słowami:

– Czy mogłabyś przyjąć ten drobiazg?

Podąła mi mały zielony pakiecik. Otworzyłam usta ze zdumienia.

– Tak, to dla ciebie, na pamiątkę – upewniła mnie.

W pudełeczku leżał mały breloczek do kluczy. Wyglądał jak ze złota.

– Dziękuję, dziękuję, Helen – mówiłam bardziej zaskoczona niż wdzięczna. Prezent? Na pożegnanie? I to od Helen? Była to ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej mogłam się spodziewać. Podobnie jak słów Helen: „*You have been light in my life*”¹.

Rozstanie z Eileen też było dla mnie niespodzianką. Tuż przed wyjazdem odkryłam jej tajemnicę.

¹ ang.: Byłaś światłem w moim życiu.

– Eileen ma medal Rotary Club – mówiła Lorraine. – Pierwszy w historii przyznany ko-bie-cie! Nie koniec na tym – powiedziała ścisząc głos – od królowej Elżbiety dostała order British Empire .

– Sęk w tym, że nie wiem, gdzie mam te medale – przyznała starowina, zdumiona, że się nimi interesuję. A ja, patrząc na nią, zaniemówiłam. Gdzieś wychodziła. Ubrana w elegancką białą suknię z żakietem, inspirowaną jakby strojem do tenisa, dyskretnie umalowana – piękna, stara kobieta. Trochę rozbawiona moim zachwytem wobec jej zasług, obejmując mnie na do widzenia, powiedziała:

– Pomagam tylko żyć tym kobietom. Nic więcej.

Spis treści

Od Autorki.....	5
Eileen	
Tu nigdy nic nie wiadomo.	
Walizki zamknięte?.....	11
Gary	
All shall be well, all shall be well... ..	33
Morgan	
Nie nawoływał do miłości bliźniego.....	43
Dick	
Ludzie często idą na oślep.....	57
Liesa	
Wielki Spokój.....	69
Andy	
Zostań moją kochanką.....	79
Jentzing	
Jestem tu niepotrzebna.....	95

Alice

Ludzie mnie nie lubią.
Zresztą, ja siebie też nie... .. 115

Tadeusz

Myślisz o samobójstwie? Czemu nie? 121

Elena

Lepiej zostawić pieniądze u ludzi 129

Mieczek

Ja nie mam ani serca, ani wątroby..... 147

Zuzia

Miała rację? O co walczyła?..... 155

Frank

Ja mam siebie kochać!..... 163

Pająk

Nie wracają do Polski, bo się wstydzą. 171

Ingrid

Ludzie mają w życiu gorzej i lepiej,
ale czy to u mnie coś zmienia? 177

Sivi

Człowiek musi swoje przejść... .. 183

Maria

Czasem trzeba ludzi oszukać... .. 189